

*Zawóz w Bieszczadach, 1855 A.D.  
siedziba rodziny Giebułtowskich*

**J***estem beznadziejną matką. Starszy syn pije, a młodszy rycerską krew miesza z włościańskim błotem.*

Przeczytała ponownie i wyrwała kartkę. Nie tak powinno brzmieć pierwsze zdanie z pamiętnika szanującej się niewiasty. Niewiasta zaczyna dzień modlitwą, zachwyca się słońcem i muśnięciami wiatru na splotach dzikiego wina wrośniętego korzeniami w rodzinny dworek. Zawsze pobożna, pogodzona z losem, zawsze komuś podległa i komuś potrzebna, zawsze „po” – po kimś i po czymś. Jeśli zamężna, to za mężem skacząca w ogień, jeśli matka, to szczęśliwa, jeśli wdowa, to nieutulona w cierpieniu. Biada jej, jeśli nie potrafi udawać. Szczerość jest dla mężczyzn.

Wiktoria zaczęła na nowo, nie żałując przymiotników, jak na prawdziwą niewiastę przystało:

*Dziś pochmurno i siąpi, ale dzięki temu jakże przytulny wydaje się nasz salon z ciepłym kominkiem! Najdroższa Mama drzemie, dziatki Maciejowej igrają z zadziornym Puszkciem, a zacny Bernard zanoszą pobożne modły za pomyślność całej rodziny. W dodatku*

*jakimś cudem niezziemskim doszła poczta, a z nią mój ulubiony dodatek do Magazynu Mód, „Dziennik Przyjemnych Wiadomości”! Ach, słodka krotchwilo! Na ósmej stronie taka otóż przepyszna relacja z balu u arcyksięcia: „Dziś każda niewiasta jest prawdziwą Florą, boginią kwiatów. Dama dźwiga ogród na głowie: całe girlandy róż i ozdobnych liści. Te rozciągają gałązki ku skroniom, ocieniając je, a całym bogactwem spadają ku szyi, dając im białość łabędzią”.*

Tyszkowska przeciągnęła dłonią po szyi i wyobraziła sobie kołcz z kolczastych róż zaciśniętą na krtani. Tak się czuła przez większość życia i nawet wcielenie się we Florę, boginię kwiatów, nie zatarałoby tego wspomnienia.

No więc idźmy dalej, w stylu nobliwej pani domu:

*Piszą także, iż „prawdziwa dama jaśniej w towarzystwie doskonałej urody klejnotami” – za najmodniejsze według „Dziennika” uznaje się rubiny dla dojrzałych kobiet i turkusiki dla pańienek. O moim kamieniu ani wzmianki, choć daleko piękniejszy od obu wymienionych. Sam kolor przywodzi na myśl purpurę burzowego nieba, przeciętą językami błyskawic, stąd też dla jego surowości kazałam niedawno oprawić go w surowe srebro. Dziadek pisał z zesłania, że znalazł ów kamień w piasku nad syberyjską rzeką i że tamtejszy lud uważa go za cuda czyniący. Dziw, że przeleżał w skrzyni tyle lat i nie dostrzegłam jego urody...*

Tyszkowska zrobiła pauzę i znowu dotknęła szyi. Rady wiejskich bab nie wystarczą, podobnie jak kącik urody w „Dzienniku Przyjemnych Wiadomości”. Niedługo nie wystarczy nawet wysoki kołnierzyk ze stójką,

by zakryć zwiotczającą skórę. Nie wystarczy słój ugotowanych i na wpół rozłożonych pijawek, by zafarbować siwiznę we włosach. Cóż począć? Jej ciało wędnie, jak *membrum virile* po pracy.

Wiktoria drgnęła i plama z atramentu rozlała się na połowę strony. Odgłos męskich butów. Czyżby wreszcie zrobił to zamówienie u szewca, jak radziła? Rządcę powinno być słyhać z daleka.

Dźwięk kroków narastał.

Wydarła kolejną kartkę, zamknęła dziennik i wstała z krzesła. Zwierciadło w kanciastych ramach, w którego tafli przeglądała się od najmłodszych lat, poczęstowało ją własnym odbiciem.

Pod powiekami mignęło jej wspomnienie wiotkiej dziewczynki w komunijnej sukience, potem tej samej dziewczynki niewiele, bardzo niewiele starszej w białym ślubnym stroju, potem w obszernej sukni z ciężowym brzuchem, aż wreszcie dojrzałej niewiasty w czerni... Ach, jak pięknie kobietom w czerni!

Poprawiła falbanki na bluzce i przeprasowała je dłońmi, sprawdzając, czy biust znajduje się na odpowiedniej wysokości. Pięćdziesiąt lat. Uff... Obejrzała swą idealnie szczupłą talię, dotknęła ufarbowanych pijawkami włosów i odwróciła się od okna, by światło dnia nie obnażało zmarszczek na szyi.

Kątem oka pochwyciła ukradkowe spojrzenie Maciejowej – długie, pełne tęsknoty i zawiści.

Maciejowa, młodsza od niej o kilka lat, a jednak tak zaniedbana, jak mogą być zaniedbane tylko chłopki obarczone trudami nadmiernego macierzyństwa,

w akompaniamencie dziecięcego wrzasku cerowała kolejną męzowską skarpetę. Obok niej, w poręczowym krześle, ojciec Bernard kartkował Pismo Święte, szukając zapewne jakiegoś cytatu, który uruchomiłby w obecnych poczucie winy.

– Na rany Chrystusa! – wykrzyknął śpiewnym basem. – Niechże Maciejowa zrobi coś z tymi dziećmi, bo własnych myśli nie słyszę!

Gospodyni posłusznie poderwała się z krzesła i zatkaną usta najbardziej wrzeszczącej latorośli, która właśnie ciągnęła kota za ogon. Puszek drapnął małego oprawcę szponiastą łapą. Rozległ się kwik, a potem świdrujące w uszach zawodzenie. Mały Bazyl czy Wasylek, czy jak go tam po rusińsku zwali, wyrwał się matce i podbiegł do Bernarda, najwyraźniej szukając ratunku.

Zakonnik zeszywniał i zasłonił się Biblią.

– Albowiem powiedziane jest w Księdze Izajasza „w ciszy i ufności leży wasza siła” – wygłosił przemądrzale, celując palcem w smarkacza. – A ewangelia mówi: „błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię”. Zrozumiałeś, nieznośne pachole...? Cisi!

„Tym bardziej byś się zamknął” – pomyślała Wiktoria.

Uświadomiła sobie, że niedługo minie dziesięć lat, odkąd utrzymują we dworze tego świątobliwego pasożyta. Bernard lubił luksus, żarł jak knur, zajmował dwa przestronne pokoje, a jedyną rekompensatą, jaką zapewniał, były wygłaszane z nienaganną dykcją biblijne wersety.

Dzieciak, kiedy dotarło do niego, że wybrał niewłaściwego pocieszyciela, jeszcze głośniejszą się rozwrzeszczał. Bernard przesiadł się o krzesło dalej, udając, że od okna pada na Pismo Święte więcej światła.

Trzasnęły drzwi.

Rozalia, śpiąca z otwartymi ustami, podskoczyła na bujanym fotelu. Jej czepek się przekrzywił, podobnie jak fotel, i tylko przytomności Maciejowej należało zawdzięczać, że starsza pani nie runęła wraz z meblem na podłogę.

– C...co?... – wymamrotała i zacisnęła upierścienione dłonie na poręczach fotela. – Co się stało...? No co tam, Bazylku?

Smarkacz chlipiąc, włożył seniorce na kolana. Rozalia pomruczała coś do niego, cmoknęła w czoło i wytarła zasmarkaną buzię jedwabną chustką. Wiktorię zemdliło. Nie to, że nie lubiła włościańskich dzieci (w końcu przynosiły jej kaptcie, nalewały wino i całkiem zręcznie usługiwały, gdy nauczyło się je dyscypliny), ale żeby brudzić jedwab o chłopską gębę?

Stłumiła grymas niechęci i spojrzała nagłąco na drzwi.

– Kogóż tam tak wypatrujesz? – spytała matka.

Mimo siedemdziesiątki wzrok miała bystry jak naganiec na polowaniu.

– Widzi mi się, że to pan rządca, mamó. Chyba chce porozmawiać o interesach. Pozwolisz, że pójdziemy razem do kancelarii po papie? – Znacząco zerknęła w stronę wrzeszczących dzieci.

Starsza pani uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– A gdzieżby indziej, moja duszko! W kancelarii jest dużo miejsca... – Urwała, pilnie wypatrując rumieńców na twarzy córki, ale te się nie pojawiły. – ...no i wszystkie papiery! Pamiętaj: z Zawozu i Wołkowyi w szufladzie pod oknem, z Górzanki leżą na sofie...

– Na szafie, mammo!

– Ach, wybacz mnie starej. – Znowu ten szelmowski uśmiech. – Nie dziwię się, że przełożyliście na szafę, potrzeba wam miejsca...

– Mammo! – przerwała i tym razem nie dała rady stłumić wypływającego na policzki szkarłatu.

Rozalia stłumiła chichot. Z czeluści sukni wygrzebała cukierek, wetknęła go dzieciakowi w rozdartą gębę i lekkim klapssem odesłała w stronę matki.

Wiktoria otworzyła drzwi.

Niestety, nie stał za nimi przystojny rządcą w nowych butach, ale chudy Izraelita, zza pleców którego wyglądał lekko zdenerwowany ochmistrz.

– O! – zdziwiła się starsza pani. – A kogóż to niesie w taki ziąb, Macieju? Plucha, błoto, na gościńcu wozy się z końmi topią!

– Jaśnie wielmożne panie wybaczą, ale ten Żyd twierdzi, że z rozkazu jaśnie państwa Kowalskich z Birczy przybywa i chce rozmawiać z panią Tyszkowską – obwieścił sługa, nisko się kłaniając. – Mówi, że ledwo tu dojechał. Nie był umówiony, alem przecie nie miał serca go za drzwiami zostawić.

Matka i córka wymieniły spojrzenia.

Starozakonny zdjął piękną, sobolową czapę i pochylił głowę.

– Ezaw Morgensztern, do usług. Jestem zaufanym jaśnię pana Adama Kowalskiego. Od lat prowadzę interesy całej jego czcigodnej rodziny.

– Widzę przecie, że bankier! – przerwała bezceremonialnie Rozalia. – Kogóż innego byłoby stać na tak piękne sobole?

Na ustach przybysza zakwitł powściągliwy uśmiech.

– Zaiste, jaśnie państwo Kowalscy hojnie wynagradzają moje usługi. Moja kancelaria jest szeroko znana w Galicji i specjalizuje się w...

– Nie przeczę, że w pańskiej osobie odwiedził nas człek wybitny – ucięła Rozalia, przerywając nadciągający potok referencji. – Ale mów pan, z czym przybyłeś, bo obydwoje wiemy, że nie dla gładkich słów wytrząśłeś się powozem po bieszczadzskich połoninach.

Starozakonny skłonił się niezrażony.

– Miałem jeszcze w zanadrzu kolejne powitalne uprzejmości... Ale skoro tak stawiasz, pani, sprawę, bezzwłocznie przejdę do interesu, z którym posłał mnie tu mój dobroczyńca.

Rozalia skinęła przyzwalająco głową, a Wiktorię ogarnęło złe przecucie. Złotousty Żyd zawsze zwiastował kłopoty.

Kazała Maciejowej podać ciastka i kawę i wprowadziła gościa do kancelarii.



**P**przednówek 1855 roku był najkoszmarniejszy od lat. Lało codziennie. Deszcz z niewielkich chmur

urastał w okamgnieniu do rozmiaru nawałnicy, a wiatr siekł po skórze niczym zły pan nahajką. Chorych w Trójcy przybywało jak much w przepelnionej wygodce, a wszyscy słabowali na żołądek i jelita. Batko niegdyś nazywał te wiosenne bolączki „nędzolączkami”, bo brały się z nędzy: głodu i brudnej wody.

Katja sumiennie wypełniała swe aptekarskie powinności, biegając od chaty do chaty z dobrą radą i węzełkiem ziół. Poprzedzając ją sława znachorki, która wyleczyła chorą nogę jaśnie pana Antoniego, rozwiązywała języki trójeckich włościan. Na przednówku jak na przednówku: roboty mało, a pogadać zawsze można, choćby i o katarze kiszek.

– Panna pewnikiem wie, kto chrzciny będzie wyprawiał? – odezwała się Galina, matka trzech synów, z których najmłodszy uporczywie kaszlał i Katja smarowała go właśnie borsuczym sadłem. – Bo jak panna nie wie, to powiem tylko, że jeszcze tak u nas we wsi nie było, żeby paroch kogo chrzczył cichcem i w dzień powszedni.

Katja, która najpierw chciała sprostować, że nie jest panną, ale mężatką, a potem, że jej samej paroch z Birczy ślub dawał cichcem i w dzień powszedni, nie odezwała się ani słowem.

– Bój się Boga, jak to panna nie wie?! Toż to chrzciny dzieciaka, co go pan dziedzic zrobił dziewce folwarcznej z Jamnej! Już drugiego! Pewno proboszcz tamtejszy odmówił i kazał chrzcic tego bękarta w naszej cerkwi, w Trójcy! Choć Trójca od Jamnej rzut kamieniem!

– O! – wyrwało się Katji.



Galina najwyraźniej nie miała pojęcia, komu zawdzięcza życie matka „tego bękarta”, jak w Trójcy nazywano Ludmiłę – kochanicę jaśnie pana Józefa. Dziedzic nie mógł jej poślubić bez obawy o utratę imienia i majątku. Mógł tylko udawać, że z własnej woli wybrał kawalerski stan, a jednocześnie opiekować się swą chłopską rodziną z całą miłością, jaką pielęgnował w sercu.

– Bo wedle mego rozumu – prawiała dalej Galina – nie ma dla niewiasty gorszego wstydu, niż zostać pańską kochanicą. Wstyd i sromota u Boga i u ludzi! I chodzi taka, i klęka przed ołtarzem, a z wielmożnymi panami gzi się po kątach i łomocze po stodołach, tylko że panu się upieczce, a jej się ino dzieciaki ostaną i ludzka pogarda, a w piekle wieczne potępienie!

Katja spróbowała sobie wyobrazić te kąty i stodoły, a w końcu nawet piekło, ale zamiast tego ujrzała Józefa, który szlochał jak dziecko, gdy jego ukochana umierała z upływu krwi.

– I kiedy chrzest? – spytała, żeby przerwać milczenie.

– We środę. I pomyśleć, że nasz paroch na takie wszeteczeństwa musi patrzeć i jeszcze na tego bękarta, bo panowie Tyszkowscy mu kazali! W cerkiew piorun strzeli, a Święty Jura z ikony zejdzie, jak Bóg na niebie!

Półtoraroczny pacjent Katji wykorzystał nieuwagę obu kobiet i błyskawicznie włożył rączkę do kamionki z sadłem. Obliznął łąpkę, chłonąc nowy smak, a potem dokładnie wytarł palce o spódnicę matki.

– Sławko, zarazo jedna! Cóżeś narobił?! Całą mnie uwalaleś! Ojciec wróci, to zobaczysz!

Galina dała mu prztyczka w nos. Chłopiec zaśmiał się zachwycony, a Katja przez ułamek sekundy dostrzegła coś, jakby świetlną iskrę, która błysnęła między głowami matki i syna, niczym eksplodująca gwiazda.

Pospiesznie dokończyła pracę, owinęła kamionkę chustą, pożegnała się z Galiną, ucałowała malca w pachnącą sadłem rączkę, a potem wyszła z ciepłej chyży.

Deszcz padał i padał. Nieutwardzona droga przypominała bagno, a każdy krok oznaczał zanurzenie się w nim po kostki. Katja przyzwyczajona do chodzenia piechotą (w końcu w Birczy nikt jej karetą nie woził) narzuciła sobie szybkie tempo, grzejąc się wyobrażeniem lipowego naparu, który wypije po powrocie do domu. Zgarbiona od deszczu weszła w las i wkrótce dotarła na otoczoną ogromnymi świerkami polanę, z wyrastającą pośrodku jak grzyb leśniczówką.

Dom był stary, wybudowany jeszcze przez poprzedników Walerka. Ostatniego lata gospodarz uszczelnił go mchem, wyremontował, a w okna wstawił nowe, świńskie pęcherze. Ten tani zamiennik szyb cieszył się sporym powodzeniem wśród włościan, ale wymagał też sporo roboty: pęcherze należało umyć, nadmuchać, wysuszyć dobrze na słońcu, a następnie rozciąć i naciągnąć na ramy. Tym sposobem okna nie były może duże, ale szczelne i w dodatku nadawały wpadającemu do wnętrza światłu miły, ciepły odcień. A ciepło, choćby i pozorne, było tym, czego tej wiosny najbardziej potrzebował każdy mieszkaniec rybotyckiego klucza.

Katja przebiegła kilka kroków po drewnianej kłodzie przerzuconej nad bajorem błota, wskoczyła na ganek i zgrabiała ręką otworzyła drzwi.

Nareszcie.

Chwilę stała, rozkoszując się błogością suchego miejsca. Z dziurawych trzewików ciurkała woda, tworząc kałużę na wymytej podłodze. Gdzieś z góry rozległo się basowe, melodyjne szczekanie, a zaraz potem zmieszany ze sobą łomot psich i ludzkich kończyn pędzących po schodach. Katja zdążyła tylko pomyśleć: „Ratunku” i jęknęła, uderzona ciężarem wielkiego czarnego ogara, który skoczył przednimi łapami na jej ramiona i przygniół ją do ściany.

Pies polizał aptekarkę po policzku, a sekundę później dwie rozczochrane dziecięce głowy wcisnęły się w jej ciało – wyższa w prawe żebra, niższa w lewe. Przez chwilę trwało tulenie, po czym wyższa głowa uniosła się i zmrużyła brązowe oczy.

– Co tak długo? – spytała zaczepnie Mania.

Katji udało się odsunąć twarz z zasięgu zaślinionego pyska. Marlonek natychmiast położył się na stopach aptekarki i przygwoździł ją w ten sposób do podłogi.

– Och, jak zawsze. – Poglądziła przybraną córkę po zmierzwionych włosach. – Cały świat tonie w błocie, coraz mniej jedzenia, a coraz więcej chorych.

– Byłaś u Lesia?

– I u Lesia, i u Michałka, u Marylki, u Fedora, u Sławka i jego rodziców.

– Sławko zdrowy? – Dziewczynka bez pytania rozmawiała zgrabiałe ręce Katji.

– Prawie. Już broi, nawet mamę sadłem chciał smarować. – Poczula, jak jej znużenie rozplywa się w ciepłym, dziecięcym uścisku. – A wy ciągle same? Walerkowie jeszcze nie wrócili?

– Chyba nieprędko wrócą. – Mania pokręciła głową. – Walerek powiedział, że jedzie aż pod Labin Kut, bo tam mu jaśnie pan dziedzic kazał kłusowników łapać, a Marię wziął ze sobą do jakiejś babuleńki, co to słabuje już trzeci dzień na płuca. Jak zapytałam, kiedy będą z powrotem, to leśniczy powiedział, że czort jeden wie, bo po tym błocie to wóz się gorzej wlecze niż ślimak po gównie.

– Mania!

– Co?

Aptekarka stłumiła uśmiech. W bezsenne noce zamartwiała się o przyszłość pyskatej dziewczynki. Świat nie sprzyjał zbyt bezpośrednim w obejściu pannom, o czym sama wiedziała aż za dobrze.

– A Marlon zbił słoik – zapiszczała niższa głowa, należąca do czteroletniej Wiktorii, zwanej Wikusią, młodszej córki druciarza.

– Ty zbiłaś! – warknęła starsza siostra. – Uparłaś się, żeby zrobić napar, i zaczęłaś grzebać na półce z ziołami. Marlon cię trącił i bęc!

– Ale nie chciałam. – Wikusia pociągnęła nosem i zadarła brodę, która już zaczęła drzeć od płaczu. – To nie ja, tylko Marlon!

Podobnie jak siostra, młodsza od niej o trzy lata córka druciarza miała ciemne, skołtunione włosy, których nie dało się niczym rozczesać i oczy koloru laskowego orzecha. Od Mani różniła się pokorą w spojrzeniu.

Katja przykucnęła i pogładziła małą po policzku.

– Nie skaleczyłaś się?

Wikusia zaprzeczyła i wcisnęła nos w mokrą od deszczu suknię aptekarki.

– Posprzątałyście bałagan? – Katja zwróciła się do Mani.

– Jaaaaa...? Przecież to nie ja zbiłam!

– Ja też nie – powiedziała Wikusia. – Niech Marlonek sprząta.

Aptekarka westchnęła i dźwignąwszy małą na rękę, weszła na piętro, żeby ocenić rozmiar zniszczeń. Pogadankę o odpowiedzialności za młodsze rodzeństwo odłożyła na później. Mania wyglądała wojowniczo, a jej mina wróżyła długą i zaciętą walkę o postawienie na swoim.

Katja zatrzymała się u szczytu schodów. Pochlipując Wikusię pocieszyła długim, głośnym całusem w czubek głowy, a sama podeszła do miejsca zbrodni.

Wart fortunę słoik z zielonego szkła leżał roztrzaskany na podłodze, a jego odłamki pokrywały cudownie skuteczną przeciwcholeryczną mieszanekę, wykonaną według przepisu Batki. Katja nakazała dziewczynom pilnować psa, a sama przyklekła przy smutnym, pachnącym pięciornikiem kopczyku. Tyle ziół! A dla ścisłości – tyle ziół w marcu, kiedy stare zapasy się kończą, a nowe jeszcze nie zdążyły wyrosnąć! Leśniczyna dostała je od życzliwych kobiet ze wsi, które parały się zielarstwem: liście malin, poziomek, borówek, szaławii i podbiału. Przywrotnik czyszczący krew, zwany z rusińska naworotniem, i pięciornik, zwany

kurzym, z powodu liści w kształcie kurzych łapek. Katja musiała tylko naskrobać dębowej i wierzbowej kory, na przednówku pełnych leczniczych soków. Cały słoć – pomijając szkło – był chyba cenniejszy od złota.

– To zioła na sraczkę? – chciała wiedzieć Mania.

– Mania, mów ładniej.

– A co w sraczcze jest ładnego? Zaraza zaczyna się od sraczki, prawda...?

Katja pomyślała, czy wtajemniczać dziewczynkę w zasłyszane we wsi plotki. Zaraza po raz ostatni pojawiła się trzy lata po śmierci Batki, zdziesiątkowała dwory i wioski, aż wreszcie odeszła, zostawiając po sobie ponure żniwo w postaci cholerycznych cmentarzy.

Poczochrała czuprynę dziewczynki i podniosła się z klęczek.

– Zaraza zaczyna się od głodu i brudu. Nie ma jej tam, gdzie czysto. – Postanowiła wykorzystać okazję. – Więc teraz przynieś miotłę, bo straszny tu bałagan, i pokaż siostrze, jak się sprząta. Tak?

– Nie. Ale dopilnuję Wiktorci.

– Mania!

Dziewczynka zachichotała, podskoczyła i po chwili dał się słyszeć tupot jej nóg zbiegających po schodach.

Aptekarka odprowadziła małą wzrokiem i wstrząsnęła się z zimna. Wciąż miała na sobie przemoknięte rzeczy. Masując ramiona, weszła do komory, by zmienić suknię.

Pamięć nawiedziło wspomnienie innej komory, widzianej jakby wieki temu, w chyży Ludmiły, gdzie też przemoczona do nitki zmieniała odzież na polecenie dziedzica. Och, gdybyż mogła zapomnieć o tamtym dniu! Podobnie jak o marynarce z herbowymi guzikami, pocałunku w czoło, ciepłym głosem, mówiącym: „Bóg mi ciebie zesłał”, i oddechu przesiąkniętym zapachem lawendy i skórzanego siodła...

Zrzuciła z siebie suknię i stanęła naga na środku komory. Czubkami palców dotknęła pamiętającej jeszcze birczańskie czasy szramy po bacie. Innocenty zdzielił ją na odlew bizunem, już na zawsze szpecąc ciało Katji okropną, długą na metr blizną, ciągnącą się od prawego ramienia do podbrzusza. Rana bolała przy zmianie pogody, a zwłaszcza podczas deszczu. Brzuch aptekarki już na zawsze pozostanie wstrętny. Tak jak i reszta: sterczące żebra, łopatki, biodra... Poza piersiami. Te nie sterczą, bo ich po prostu nie ma.

„Uspokój się” – skarciła się w myślach. „Po co ci te chrzciny? Dla ukłonu? Dla uśmiechu i zerknięcia jaśniepańskiego oka? Tak mało ci trzeba do szczęścia, ty żałosna, spragniona uwagi dziewczko? Chcesz się przekonać, jak na nią patrzy? Chcesz się przekonać, jak się pieści kobietę samym spojrzeniem?”

Otrząsnęła się. Otworzyła okno, żeby wyżyć mokry warkocz i... zamarła na widok tkwiącej w siodle, przemokniętej postaci odzianej w wilcze futro. Jeździec uniósł głowę.

Katja odskoczyła z krzykiem i zatrzasnęła okno.